

ODZYSKAĆ GOŚCINNOŚĆ I OPOZYCYJNOŚĆ

Rozmowa Przemysława Góreckiego

z Tomaszem Kitlińskim

„Winniśmy gościnność osobom uważanym za inne, obce, a tak naprawdę potrzebujące, cierpiące prześladowanie i wojnę, po prostu – ludzkie. Gościnność to cnota i świecka, i religijna. Zalecają ją teksty różnych kultur: Biblia Hebrajska i Nowy Testament, Koran, Mahabharata i Ramajana, eposy greckie, *Pan Tadeusz* (o wrotach w Soplicowie: «Brama na wciąż otwarta przechodniom ogłasza, / Że gościnna i wszystkich w gościnę zaprasza»). Rekomendują gościnność myśliciele od Oświecenia do dziś: Immanuel Kant, Franz Rosenzweig, Emmanuel Levinas, Jacques Derrida, Hélène Cixous, Zygmunt Bauman i Julia Kristeva. Papież Franciszek wciąż powraca do idei kultury spotkania i do idei gościnności; praktykuje ją także w odwiedzinach uchodźców na wyspach Lesbos i Lampedusa, a także w zaproszeniu grupy migrantów do Watykanu”.

Piszesz tak w swoim ostatnim apelu o przyjęcie 700 uchodźców na 700-lecie Lublina. To oczywisty, jednoznaczny i bezkompromisowy humanistyczny przekaz. Jak się mają ideały gość-inności we współczesnym świecie?

To jest bardzo słuszne pytanie. Ja próbowałam zrekonstruować genealogię gość-inności i niezwykle wydaje mi się już to, że te teksty uważane za święte czy epickie, eposy z przeszłości, są tak współczesne. Niestety, gościnność nie była i nie jest praktykowana, ale liczy się już sam ideał. Wymyśliły go światowe religie, przeróżne kultury, ale też myśliciele i myślicielki, które teraz powracają do idei gość-inności.

Pisał o tym Twój Mistrz, Cezary Wodziński w *Odys gość. Esej o gościnności*.

Mówił o tym jeszcze wcześniej, kiedy miał całą serię wykładów lubelskich na ten temat. Wodziński zawsze zapisywał „gościnność” właśnie jako „gość-inność” i rzeczywiście chodzi tu o gościnność wobec tak zwanych Innych, rzekomych obcych, którzy są tacy jak my, ludzcy. Oczywiście wliczam w to też gość-inność wobec innego gatunku, żeby nie było szowinizmu gatunkowego, i nawet, za Bruno Latourem, gość-inność wobec rzeczy. Ta inność i obcość to najwyższa wartość, która powinna być pielęgnowana, właśnie przez gość-inność.

Szczególnie trafia w sedno anglojęzyczny zapis tego projektu.

Starałam się, za sugestią specjalisty od poezji afrokaraibskiej, Bartosza Wójcika, i jego żony, Małgorzaty Paproty, specjalistki od dyskursu politycznego w Wielkiej Brytanii, oddać ten podwójny sens. Mamy więc „hospitALTERITY”, ową „alter hospitality”, czyli gościnność wobec Innych, bo przecież potrzebujemy wszelkich ruchów „alter-”. I bardzo



Fot. Sylwia Pawlik

się cieszę, że w języku polskim, który jest tak bardzo usamczony (jak pisał Jan Baudouin de Courtenay), „gościnność” ma rodzaj żeński i sam leksem gości w sobie inność.

Czy naprawdę jest tak źle z gość-innością?

Są także dobre zjawiska. Coraz więcej ludzi obu płci mówi o gościnności i ta odnowa zaczęła się chyba od myślicieli i myślicielek żydowskich – Hélène Cixous byłaby tu postacią zupełnie egzemplaryczną, podsumowującą tę gościnność, ale oczywiście wcześniej także wspomniany w moim apelu Franz Rosenzweig czy Edmond Jabès, autor niesamowitych prac o pustyni, pisze też o gościnności, co bardzo podkreśla Przemysław Tacik w swojej wielkiej książce *Wolność światel*.

Dla mnie jednak niezmiennie najważniejszy w tym kontekście jest Levinas i jego wniosek o obowiązku etycznym wobec Innego.

Tak, to odkrywca całego kontynentu gościnności. Ta twarz, oblicze Innego, jego wyższość i to, że właśnie my musimy się postawić w sytuacji, w której jesteśmy niżej od niego lub niej, ma szczególne znaczenie. W kulturze japońskiej również zawsze stawia się gościa wyżej od siebie i bardzo mi się ta japońska kultura gościnności (*omotenashi*) podoba. Ta gościnność narasta od Ukrainy i Białorusi aż po Japonię, obejmuje cały Wschód, my na Zachodzie dopiero się jej musimy uczyć. Na nowo, bo oczywiście w dawnej Grecji też była praktykowana – i to bardzo ciekawie, jak pisał Norman Bryson: zapraszało się gości, przygotowując im nie posiłki, tylko zbiór warzyw i owoców, z którego goście sami przygotowywali swój posiłek według własnych przyzwyczajzeń, potrzeb, smaków. Było to tworzeniem takiej enklawy dla tej inności, nie narzucało się im niczego, w przeciwieństwie do choćby Polski, w której panuje zasada „zastaw się, a postaw się”.

Rozumiem Levinasa, Cixous i Wodzińskiego. Ale papież Franciszek? Po co w Twoim apelu znalazł się przedstawiciel opresyjnej, zhierarchizowanej i patriarchalnej instytucji obok tak wybitnych i wolnych umysłów?

Mam wrażenie, że papież Franciszek dokonuje rewolty (a więc, etymologicznie, i buntu, i powrotu), dostrzega prawa wszystkich. Próbuje praktykować gościnność właśnie na tych dwóch wspomnianych wyspach oraz poprzez zaproszenie muzułmanek do Watykanu. I ciekawe jest to, że myje im nogi, co jest kontynuacją rytu Wielkiego Czwartku, ale jednocześnie bardzo ciekawego gestu Jezusa, który jest odczytywany teraz choćby przez Keitha Sharpe'a nie jako gest niewolniczy, ale wręcz kobiecy, bo przecież to kobiety zawsze myły nogi gościom. Papież jako pierwszy to robi, w dodatku muzułmankom, co jest naprawdę gestem queerowania. Nie

wiem, na ile świadomie to czyni, ale przez ten gest staje się nie tylko papieżem, biskupem Rzymu, ale także biskupką, wręcz papieżycą.

Podczas naszej ostatniej rozmowy dla „Repliki” w 2014 roku nazwałem czarną otchłań lat 2005–2007 „naszym małym faszyzmem”. Kto by wtedy sądził, że powróci on w 2015 roku ze zwielokrotnioną siłą. Czy jesteś na etapie aktywistycznej furii?

To była bardzo trafiona diagnoza, która niestety znów się przydaje. Tak, zdecydowanie jestem na takim etapie, bo inaczej się nie da – nie można przejść wobec tego obojętnie. „Nasz mały faszyzm” nasilił się. Ten okres 2005–2007 zaczął się bezpośrednio homo-les-transfobicznym atakiem na queerowo-feministyczną paradę dowodzoną przez Izabelę Kowalczyk w Poznaniu. Pamiętam, że policja wówczas pacyfikowała tę paradę i nawet minister spraw wewnętrznych chwalił ją za to.

To niewiarygodne i chyba już nie do pomyślenia dzisiaj. Z pewnych standardów nie da się wycofać, jednak nie można ukryć, że – cytując tym razem Ciebie – mieliśmy już fałszywy komunizm, a teraz mamy fałszywe chrześcijaństwo.

Podtrzymałbym dziś te słowa. To rzeczywiście był niestety pseudokomunizm i zaprowadzona została pseudorówność.

Pozostając przy dyskursie religijnym, ja powiedziałbym, że była to czysta profanacja komunizmu.

Właśnie tak, ponieważ został on zamieniony w swoistą religię, zupełnie niepodważalną, plemienną, nacjonalistyczną i statyczną. Nie można było sobie w jej obrębie pozwolić na żadną herezję, bo kiedy aktorzy „Ósemek” sobie na nią pozwolili, zostali wyrzuceni z tego kraju. Ten pseudokomunizm połączył swe siły

ze skrajnym etnonacjonalizmem, którego nasileniem był oczywiście rok 1968, kiedy to rodzina Baumanów musiała w jedną noc spakować się w małego wartburga i nas opuścić. To może być taką metaforą tego, że straciliśmy wtedy najlepsze intelektu.

Jako osoba, której temperament aktywistyczny w latach nastoletnich kształtował się między innymi na lekturze „Furii Pierwszej”, spytam: czy aktywist(k)a LGBTQAF ma „obowiązek furii”? Co z jej religijną genezą? Czy możemy furie odzyskać, zawłaszczyć, czy mamy ją sublimować?

Absolutnie uważam, że furia ma religijną genezę. Religie zaczynały się od bycia kontrkulturą – judaizm, chrześcijaństwo czy buddyzm były właściwie kontrkulturami, takimi furiami wobec uprzywilejowanych, o sprawiedliwość społeczną, równouprawnienie, także kobiet.

Trudno nie zadać pytania-parafrazy Bernarda Lewisa: co poszło nie tak?

Ten emancypacyjny potencjał religii zaczął być później wymazywany wraz z całym jego interpretacyjnym bogactwem. Mówię tu choćby o ręce Batszeby w Biblii analizowanej przez Harolda Blooma, o Marii Magdalenie tudzież innych kobietach, z którymi rozmawiał Chrystus w czasach, w których z kobietami się nie rozmawiało – i to kobietach obcych, cudzoziemkach. To samo z buddyzmem, taoizmem, czyli protestem przeciwko niesprawiedliwości i dyskryminacji. Niestety religie ewoluowały w stronę represji, ale zaczynały się dosłownie jako furia. Doskonale ten kontrkulturowy aspekt pokazał Erich Fromm. Wszystko zaczęło się od furii, ludzie byli rzeczywiście zbuntowani, pełni złości, zatroskani o sytuację, w której uprzywilejowani mają coraz więcej przywilejów, a wykluczeni

są coraz bardziej wykluczani. Stąd właśnie brały się religie, które później zaczęły się instytucjonalizować. I do tej pory trwa ta biurokratyzacja, a niestety jest ona wykluczająca, aparatczycy religii zwłaszcza agresywnie i brutalnie wykluczają osoby LGBTQ.

Czy możemy jakoś odzyskać tę pierwotną, wyzwalającą furie?

Myślę, że w tym celu można powrócić do tych genez religii i nauczyć się od nich gniewu. To chyba zresztą Bartosz Żurawiecki pisał kiedyś o pozytywnej wartości gniewu, po tym jak katolicki periodyk „Więź” odmówił mu publikacji? Tomasz Basiuk wielokrotnie się do tej sytuacji odwoływał. I rzeczywiście, ten niesamowity lesbijsko-queerowy magazyn „Furia Pierwsza” pokazywał furie w najlepszym wydaniu, właśnie tak, jak ja sobie wyobrażam powstawanie judaizmu, chrześcijaństwa, taoizmu, buddyzmu. Furia to działanie, akcja, niezgoda i protest. Wołanie o sprawiedliwość społeczną. Myślę, że książka Renaty Lis *Lesbos* jest teraz także ważna, przypomina między innymi postać Sofii Parnok, która uciekła ze swoją partnerką Mariną Cwietajewą i wspólnie z nią jeździła po prawosławnych klasztorach. Była to taka furia w czasach bardzo ciężkich i pod tym względem Sofija Parnok może być dla nas wzorem.

Mimo że sam uważam religie za zło wypaczające idee miłości i wolności między ludźmi, jestem w stanie zrozumieć, że są osoby, które ich potrzebują, także w tym instytucjonalnym i kolektywnym wymiarze. Jednak wszelkie próby sojuszu środowisk LGBTQ z kościołami, które z założenia nie uznają cywilizowanej „ekumenicznej” koegzystencji wolnej od potępień, wydają mi się podszyte niepotrzebnym masochizmem i pozycją zadowolonego niewolnika. Ty doszukujesz się tych postępowych nurtów i otwartości w ramach tej instytucji,

nieustannie chcesz udowodnić, że „inna religia jest możliwa”. Dlaczego tak walczysz o tę religię dynamiczną, nieplemienną i otwartą na innych?

Religie zaczynały się od wielkiej pochwały miłości i nie było wówczas ważne, kto jest partnerem czy partnerką. Myślę właśnie, że „inne religie są możliwe”. To choćby z mojego doświadczenia. Odwiedziłem takie dwa niesamowicie eklektyczne miejsca na świecie – Helsinki i Los Angeles. W Helsinkach niesamowite było to, że na kobiercach w parku otrzymywaliśmy potrawy od uchodźców i uchodźczyń, przygotowane według ich upodobań, niezwykle smaczne, i jeszcze te kobierce... W Los Angeles z kolei mieści się pierwsza na świecie synagoga LGBTQ (Beth Chayim Chadashim), całkowicie otwarta na wszystkich Innych, w dodatku z kobietą rabinką na czele. Miałem tam prelekcję na temat naszej części Europy i też powitano mnie niezwykle gościnnie. Nowsze odczytania Nowego Testamentu, tekstów taoistycznych, buddyjskich dzieją się. Pokazują, że na początku chodziło o miłość jako taką. I naprawdę Biblia jest zaludniona takimi queerowymi postaciami, jak choćby ulubiona przez Julię Kristevą i Griseldę Pollock Noemi, która niesamowicie zbliża się do swojej synowej. Kristeva nazywa to prawdziwą pasją, Keith Sharpe realnym związkiem lesbijskim.

Zjawiska takie jak to czy choćby małżeństwa osób tej samej płci w judaizmie reformowanym są jednak marginalne w kontekście powszechnego dyskryminującego podejścia systemów religijnych do wszelkiej, w tym alternatywnej, seksualności. Nie masz wrażenia, że to w pewnym sensie taki religijny *pinkwashing*, mydlenie oczu pozorną otwartością skostniałej instytucji, której dominujący i większościowy nurt najchętniej udawałby, że osoby LGBTQ nie istnieją?

Myślę, że trzeba pewne kwestie przemyśleć. Uważam, że musimy wymyślić inną religię, bo dzięki temu będziemy mogli sobie poradzić z integryzmem i fundamentalizmem, który wpada w furję i dokonuje zbrodni wykluczenia, morderstwa, masowych śmierci.

LGBTQ jako nowa teologia wyzwolenia? Dla mnie Jezus mógłby i być archetypem rewolucjonisty, socjalisty, hipisa, o ogromnym queerowym potencjale do wykorzystania, co też jest na świecie podejmowane w różnych tekstach. Zauważmy jednak, że te wątki, które były tak naprawdę bardzo interesujące w historii religii, takie jak właśnie choćby teologia wyzwolenia, pozwalająca ujrzeć w Jezusie kogoś więcej niż tylko bożka, szybko były negowane przez hierarchów Kościoła.

To prawda, ale wydaje mi się, że czas na taką nową teologię wyzwolenia. Tylko tak możemy sobie poradzić z tym integryzmem – wykazując, że Jezus jest queer, na wiele sposobów. Miał przecież umiłowanego ucznia Jana, który jako jedyny z apostołów był przy nim aż do ukrzyżowania (obok Marii Magdaleny), i sztuka to odczuwała od zawsze, co zaowocowało częstymi przedstawieniami Jezusa i Jana w czulej postawie wobec siebie, choćby *Ostatnia wieczerza*. Jest też wiele innych scen, choćby w Biblii Hebrajskiej, kiedy Józef (w charakterystycznym barwnym, może kobiecym płaszczu) przyciąga do siebie różnych mężczyzn, w tym faraona. Jest też historia Sodomy, miasta ukaranego jakoby za sodomie, a tak naprawdę za niegościnnosć. Lot, w islamie Lūt, jest jedynym ocalałym z tej zagłady, ponieważ pozostaje gościnnie, w odróżnieniu od choćby Abrahama (Ibrahima). Teologia wyzwolenia rozwijała się tak bujnie zwłaszcza w Trzecim Świecie, głównie w Ameryce Łacińskiej, aż została właściwie zduszona. Wychylała się na tematy feministyczne, socjalistyczne, a więc kwestia LGBTQ byłaby zupełnym zapal-

nikiem w nowej wersji tej teologii, która, jestem przekonany, nadchodzi. Widzę te książki, które ją zwiastują, choćby *Queer Theory and the Jewish Question* pod redakcją Daniela Boyarina, Ann Pellegrini i Daniela Itzkovitza. Może jest już czas, by spróbować zająć się tym i zacząć wyzwalać grupy marginalizowane?

Obecny polski rząd faszystowski sprzyja niestety transfobii, mizoginii i homofobii, uprzedzeniom ekonomicznym wobec prekariatu. Kolej na nas, byśmy podjęli się rewolty i samowyzwolenia.

Myszę, że szczególnie ważnymi dla LGBTQ aliansami są sojusze ze wszystkimi marginalizowanymi środowiskami. Oczywiście powinno być sprzyjanie z ideałami siostrzeństwa, kobiecości, żydowskości, stawanie ramię w ramię przeciwko klasizmowi, wspieranie ruchów antykapitalistycznych. Solidarność jest słowem kluczem, zresztą taką naukę przemycił też głośny i wzruszający film *Pride*. Czy łatwo jest zachować równowagę między globalnością a lokalnością?

Nie wyobrażam sobie furii bez tych alianсів! Działanie (działactwo, aktywizm) musi być połączone z prowadzeniem refleksji. W Polsce jest pewien wspaniały alians feministyczno-queerowy, zauważalny choćby w Lublinie czy Poznaniu, moich ukochanych miastach, w których anarchistki, anarchiści, antykapitalistki przyłączają się do ruchów tęczyowych. W 2009 roku udało się nam obronić 400 osób sprzątających, zagrożonych zwolnieniem na UMCS. A największą heroiną tego jest oczywiście Maria Janion, która według mnie zaczęła w Polsce feminizm, studia żydowskie i studia LGBTQ, choć jej pionierstwo nie zawsze bywa doceniane. Elżbieta Matynia, Agata Araszkiewicz, Ewa Majewska i Kazimiera Szczuka kontynuują te alianse.

Co jednak z zauważalnym problemem ruchów emancypacyjnych, jakim jest pewna paradoksalność dążeń? Żyjemy w czasach, które

stają się kompletnym wypaczeniem idei wolnej, queerowej miłości i niezależności, nasi aktywiści walczą o tak konserwatywne ideały jak małżeństwa, uprzywilejowujące model monogamiczny, niekiedy desperacko zabiegają o akceptację Kościoła, pragną przyczynić się do propagowania militarizmu, walcząc o gejów i lesbijki w służbach wojskowych. Stanowczo za rzadko poddają refleksji kwestie interseksjonalne, ekonomiczne, nie przejmując się tym, jak często zostajemy cynicznie wykorzystani przez wszystkich tych, którym nie śmierdzą różowe złotówki. I jak połączyć świadomość tego wszystkiego ze stąpaniem na ziemi? Jako aktywista przez lata sam brałem udział w licznych akcjach i projektach wspierających „mainstreamowy” nurt emancypacji w Polsce, a więc walkę o równość obywateli wobec prawa (której elementem jest, czy tego chcemy, czy nie, równość małżeńska), bo uważam, że to etyczny obowiązek wszystkich Innych, którzy chcą, by przyszłe pokolenia Innych miały choć trochę lepiej. Czy nie jest to jednak ślepy zaulek?

Masz rację, to „zmainstreamowanie” rewolty jest rzeczywiście niebezpieczne. Już Kristeva to wyśmiała, pisząc, że geje chcieliby się przyłączyć do najbardziej represyjnych instytucji świata, czyli armii i policji. Z drugiej strony Judith Butler mówiła kiedyś, mimo swojego oporu wobec tej instytucji, o małżeństwie, ale z większą liczbą osób. „Niech nas zobaczą” było tu wzorcową akcją, w istocie kontrkulturową, bo jej autorka Karolina Breguła miała doskonałe wyczucie anty-mainstreamowości. To, o czym mówisz, jest bardzo niebezpieczne i ostrzegałbym przed tym – nie wierzę w ideę „historyczności” głoszącą, że na pewnym etapie przychodzi taki czas, że trzeba się trochę „zmainstreamizować”. To grozi utratą szacunku dla wielu kwestii, dla ideałów. Opozycyjność, tak samo jak gościnność, jest wartością, którą musimy odzyskać i o którą musimy walczyć. •